

Opinia o sytuacji krytycznej, panującej w naszych teatrach muzycznych, staje się coraz powszechniejsza, czemu wyraz dał nie tak dawno dwutygodnik „Teatr” w swoim cyklu wypowiedzi „Wokół teatru muzycznego”. Uczestnicy tej dyskusji zgodnie na ogół przyznawali, że teatr muzyczny jest jedną z najtrudniejszych – jeżeli nie najtrudniejszą – formą wypowiedzi teatralnej, jednocześnie zgodnie stwierdzając jego niemalże agonialny stan. Przyczyn doszukiwano się najczęściej w faktach następujących: w braku odpowiedniego repertuaru (dobieranego w takiej sytuacji najczęściej na zasadzie „popierajmy się”), we wręcz katastrofalnym stanie umiejętności – zarówno wokalnych, jak i aktorskich – artystów tych scen (co ma oczywisty związek z kształceniem adeptów dla tych scen, które w naszym kraju praktycznie nie istnieją) oraz w złej organizacji tych placówek, a mówiąc wprost – w braku zdyscyplinowania w zespołach.

W tym pesymistycznym pejzażu gdyński Teatr Muzyczny stanowi ewenement, widocznie w myśl zasady, że wyjątek też potwierdza regułę. Braki repertuarowe uzupełnia się tutaj we własnym zakresie, zamawiając bezpośrednio u autorów takie utwory, jakich teatr aktualnie potrzebuje, bądź też – jak w wypadku ostatniej premiery – sięga się wprost do źródeł światowego musicalu, do Ameryki i to do twórczości samego Burt'a Bacharacha! Przynajmniej nikt o kumoterstwo w tym przypadku nie pomyślał. Braków kadrowych Teatr Muzyczny nie odczuwa, jako że miast uderzać w plac, zorganizowano tutaj przed paru laty przyteatralne studio, kształcące młodych ludzi na scenę, czego efekty są już widoczne, zaś o dyscyplinę pracy w zespole dba od lat z matczyną ponocą troskliwością, ale i z „żelazną ręką” dyrektor Danuta Baduszkowa.

Nowy sezon Teatr Muzyczny rozpoczął, jako się rzekło, polską prapremierą musicalu Burt'a Bacharacha – „Promises, promises” (Obiecanki, obiecanki). Piosenki Bacharacha zna chyba cały świat, słyszy się je codziennie w radio, w płyt, z ekranów filmowych, śpiewają je najwybitniejsi wokaliści, nawet nasza telewizja, która ma swych lansowania gwiazd z kilkunastoletnim popiłżgiem, prezentowała jego telewizyjne programy. Jest on w tej chwili i pewnością postacią numer jeden amerykańskiej muzyki rozrywkowej, uznaje się go powszechnie za „nowego Garshwina”. Jego pulsujące niespokojnym rytmem, z pozoru nonszalanckie i niedbale, lecz niezwykle precyzyjne i trudne kompozycje, zrewolucjonizowały współczesną muzykę popularną.

„Promises, promises” jest jedynym do tej pory musical'em Burt'a Bacharacha. Libretto opracował do niego świetny komediopisarz Neil Simon w oparciu o scenariusz pamiętnego filmu Billy Wildera „Garsoniera” (wyświetlanego u nas z Shirley McLaine i Jackiem Lemmonem w rolach głównych), zaś teksty piosenek napisał stały „tekściarz” Bacharacha – Hal David. Musical ten – zgodnie zresztą z przypuszczeniami – odniósł olbrzymi sukces na Broadwayu (premiera w 1968 roku), później w całych Stanach Zjednoczonych i Europie.

Znajdujemy się w samym sercu Nowego Jorku. Wokół sceny panorama (olbrzymie zdjęcia) Manhattanu, ze swymi najwyższymi w świecie wieżowcami, mieszczącymi centrum handlowo-bankowe. Na tym tle liczne, wielopoziomowe

Premiery

Bacharach w Gdyni

białe podesty, dzielące przestrzeń sceniczną na klatki-klatki, coś jakby przekrój poprzeczny 72-piętrowego gmachu towarzystwa ubezpieczeniowego „Dalekowzroczność”, w którym pracuje buchalter – Chuck Baxter, niczym nie wyróżniający się urzędnik niższego szczebla, jak sam mówi „drobnoustrój, którego nikt nie zauważa”. Stosownie do okoliczności, pomieszczenia biurowe zamieniać się będą – dzięki prostym rekwizytom – na mieszkanie Baxtera, bar, chińską restaurację, boisko koszykówki i inne. Ta prosta i jednocześnie bardzo funkcjonalna scenografia Andrzeja Markowicza daje efekt pogłębienia sceny, pozwalając rozgrywać akcję na wielu poziomach jednocześnie.

A dzieje się tutaj sporo – otóż Baxter używa swym przełożonym klucza do swojej kawalerki, co sprawdzi później na jego głowę niemale kłopoty. Do tego jeszcze dziewczyna, którą kocha – Fan Kubelik, koleżanka z pracy – zamieszana jest w całą tę aferę. Powstaje z tego wszystkiego zabawne quiproquo. Rozwiązania intrygi nie zamierzam oczywiście zdradzić.

Spektakl utrzymany jest w bardzo dobrym tempie, reżyserzy – Danuta Baduszkowa i Zbigniew Bogdański – umiejętnie połączyli wszystkie elementy przedstawienia: akcja dramatu toczy się

plynnie, wartko, piosenki naturalnie z niej wypływają, będąc bądź chwilą refleksji, pewnego uogólnienia i komentarza, bądź też odwrotnie – stwarzając napięcie, jakiego mogło już za chwilę zabraknąć w samej akcji. Zespół baletowy stanowi tutaj jakby dodatkowy element scenograficzny – to amerykańska ulica: sekretarki biegnące do pracy, dostojnie krocząca Armia Zbawienia, zbuntowana młodzież. Obraz ulicy, po której kroczą bohaterowie z pracy do domu, bądź na schadzkę do cudzej kawalerki...

Aktorstwo tego przedstawienia przeczy, wspomnianym na wstępie, opiniiom. Wszystkim artystom należą się słowa uznania za połączenie tych dwóch elementów, które stanowią o sprawdzeniu się w teatrze muzycznym umiejętności wokalnych z umiejętnościami aktorskimi. Wszystkie postaci przedstawione zostały w sposób dojrzały, z dużą prawdą psychologiczną. Jacek Labuda stworzył postać sympatycznego „przeciętniaka”, nieco marzyciela, poczciwca, ale przecież nie fajtłapę, a Irena Pająk z temperamentem nam kilka Bacharachowskich przebojów ze słynnym „I'll never fall in love again” na czele. Znamięte były komediowe, z farsowym wręcz zaciekciem, role Józefa Korzeniowskiego – dr Dreyfuss (brawurowo wykonana piosenka „rozweselająca”), Urszuli Polanowskiej – Miss Olsen i Elżbiety Drzewieckiej – Margo McDougall. Zabawna była także piosenka „świątecznych smutaków”, czyli czterech uwodzicieli, którzy Boże Narodzenie spędzić muszą przykładnie na tonie rodziny, w wykonaniu Jana Wodzyńskiego, Andrzeja Popiela, Andrzeja Kijewskiego i Leszka Kowalskiego. No i oczywiście oklaski dla zespołu muzycznego i chóru, których rola z pewnością jest mniej widowiskowa, ale przecież jakże ważna.

Słowem – polska prapremiera Bacharacha udała się. Oklaski trwały długo, widzowie rozbawieni, podśpiewując, opuszczali teatr. Przedstawieniu należy zatem wrócić duże powołanie i to nie tylko ze względu na nazwisko słynnego kompozytora.

Aleksandra ZIELIŃSKA-PAPROCKA

Teatr Muzyczny w Gdyni – „Promises, promises”: muzyka Burt Bacharach, libretto Neil Simon, teksty piosenek Hal David, tłumaczenie A. Marianowicz i J. Minkiewicz. Insc. i reż. Danuta Baduszkowa i Zbigniew Bogdański, kier. muz. Ryszard Damrosz, scen. Andrzej Markowicz, chór. Przemysław Śliwa. Premiera 24 października 1978 roku.